

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

lipiec 2006 r.

Nr 7 (40)



## 1. Z KART PRZESZŁOŚCI

– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

## 2. ZE WSPOMNIENI

– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

## 3. Z DZIEJÓW KONINA

– artykuły o treściach historycznych, archiwalia

## 4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA

– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

## 5. NASZYM ZDANIEM

– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

## 6. INSPIRACJE KULTURALNE

– poezja, proza, rysunek konińskich twórców

## 7. Z ŻYCIA TPK

– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

## 8. BARWY CODZIENNOŚCI

– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

## 9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



## Witam najwytrwalszych Czytelników w naszym własnym wreszcie tropiku

Chyba zdążyliśmy się już nieco przyzwyczaić do podwyższonej temperatury powietrza, bo liczba widzów na wyjątkowo dużej ilości imprez kulturalnych w naszym mieście jest wręcz imponująca. Koncerty, wystawy, imprezy plenerowe, filmy, jubileusze – to pachnie wręcz metropolią. Bravo koninianie, przyjmijcie gratulacje od „Koninianów”. A wracając jeszcze do pogody, polecam do wypróbowania sposób prognozowania opisany w parana-

kowym artykule Danusi Olczak „Barometry i znaki przyrody”.

Janusz Gulczyński próbuje pomóc nam zrozumieć „trudną historię najnowszą”. Ta jest zawsze najbardziej kontrowersyjna, właśnie z powodu swej „nieuleżalej” jeszcze do końca świeżości. Natomiast Paweł Rybczyński przedstawia bardzo ciekawą historię kościoła ewangelickiego pw. Ducha Świętego oraz związanym z nim rondem, od niedawna zwanym właśnie rondem „Ducha Świętego” – lektura obowiązkowa. Janek Sznajder przekazuje wzruszające wspomnienie o doktorze Kazimierzu Oblamskim zmarłym w kwietniu tego roku człon-

ku naszego Towarzystwa. Nie było zebrania bez Jego pouczających, ale jakże ciekawych i dydaktycznych anegdot o Koninie.

Z przyjemnością zapoznaliśmy Państwa ze wstępem pióra Ewy Grętkiewicz do najnowszej książki Wenedy „Silva rerum” – myślę, że zachęci to wystarczająco Czytelników Wenedy do zajrzenia do księgarń.

Zapraszam do wywiadu z Józefem Szykiem, człowiekiem ścigającym się ze swoimi pasjami – budujące! Natomiast prawie rozczulająca jest miłość Włodka Kowalczykiewicza (młodszego) do swojego (naszego) miasta. On naprawdę zapamiętał rzeczy, o których

mało kto już wie. Włodziu – dziękujemy. Absolwenci z 1956 r. dzielą się z nami radością ze swojego spotkania – życzymy im jeszcze wielu tak miłych imprez. Polecam również uwadze Państwa list Jana Piotra Szczepaniaka oraz zachęcam do pomocy w rozwijaniu tej frapującej idei. „Koniniana” chętnie będą patronować i pośredniczyć pomiędzy zainteresowanymi (na adres „PK”) lub bezpośrednio na nr (0-63) 2459998

Pozdrawiam

– Stanisław Sroczyński

PS Z zażenowaniem, że nieco spóźnione, przesyłam serdeczne podziękowania Panu Posłowi Tomaszowi Nowakowi (dzięki Tomeczku) oraz druchowi Kazimierzowi Gościńskiemu za „Benedyktyńskie” gratulacje.



## Trudna historia najnowsza

Od kilkunastu lat odwiedzam niezwykłą szkołę. Jest to Szkoła dla Dzieci

Przewlekłe Chorych przy Szpitalu Zespołowym przy ulicy Wyszyńskiego w Koninie. Przewidziana jest dla małych pacjentów (uczniów podstawówek i gimnazjów), którzy długo przebywają na różnych leczeniach i rekonwalescencjach szpitalnych, a żeby zupełnie nie odwyknąć od nauki, pobierają określone specjalnym programem nauczania lekcje. Jest w szkole zazwyczaj kilkunastu, zmieniających się co jakiś czas pacjentów. Jest dyrekcja, grono pedagogiczne, są klasy, tablice, pomoce naukowe itp.

Przed laty szkoła nawiązała kontakt z Muzeum Okręgowym w Koninie. Odtąd zaczęły się odbywać w szpitalu lekcje muzealne z najróżniejszych przedmiotów, często z pokazami ciekawych obiektów. Osobiście byłem w tej szkole kilkanaście razy. Zazwyczaj zapraszano mnie na pogadankę związaną z obchodami świąt państwowych: 3 Maja i 11 Listopada, ale przeprowadziłem też kilka lekcji o regionalnych wydarzeniach powstania styczniowego, o wojnie i okupacji hitlerowskiej w Koninie, opowiadałem o zagładzie Żydów i obozie śmierci w Chełmnie nad Nerem, prezentowałem pocztówki, historyczne fotografie, na podstawie których uczniowie rozpoznawali najciekawsze zabytki naszego miasta. Przez te lata naprawdę zaprzyjaźniłem się ze szkołą, jej nauczycielami i wychowawcami. Od paru lat na święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc otrzymuję od uczniów i wychowawców przepiękne, własnoręcznie wykonane kartki z życzeniami. Zazwyczaj odwzajemniam ży-

czenia, przesyłając świąteczne kartki na adres szkoły.

W bieżącym roku zostałem za-

proszony do przeprowadzenia lekcji na temat zaiste nowy, trudny i niezwykły. Był czerwiec, zaledwie kilka dni do zakończenia roku szkolnego, kiedy zwrócono się do mnie, abym przybliżył uczniom temat Poznańskiego Czerwca 1956 roku. Pięćdziesiąta rocznica tych wydarzeń, w telewizji ciekawe programy: projekcje filmów dokumentalnych, dyskusje historyków, relacje naocznych świadków, a uczniowie nic, albo prawie nic nie wiedzą o tej historii. Przeglądałem



podręcznik dla gimnazjalistów. Jest chyba jedna strona poświęcona wydarzeniom czerwcowym, są dwa zdjęcia, dwa cytaty źródłowe – to wszystko. Naprawdę trudno tłumaczyć dzieje sprzed pięćdziesięciu lat młodym słuchaczom. Na sali zebrało się kilka osób: paru gimnazjalistów, dla których opowieść mogła być w miarę przystępna i kilku młodszych uczniów z niższych klas, którzy – obawiam się – niewiele z tego, co mówiłem, zapamiętali.

Jak powiedzieć dzieciom o komunizmie, stalinizmie. Do niedawna myślano, że koniec wojny w 1945 r. zakończył burzliwe dzieje. Minęło 11 lat i robotnicy Poznania na wieść o podwyżkach cen na artykuły spożywcze, wyszli na ulicę. W proteście społecznym, w wielotysięcznym pochodzie, do którego przyłączyli się kolejni demonstranci (nie tylko robotnicy, także inteligencja, młodzież szkolna, nawet dzieci), przeszli do centrum miasta. Nieśli ze sobą narodowe flagi, transparenty z żądaniem: „Pracy i chleba”, śpiewali patriotyczne i religijne pieśni. Wydarzenia czerwcowe

określa się ostatnio jako powstanie, ostatnie polskie powstanie w walce o niepodległość. Historycy, którzy tak uważają, podkreślają, że protest poznański miał nie tylko ekonomiczne podłoże, ale także aspekty polityczne, niepodległościowe. Na transparentach niesionych przez robotników widniały napisy: „Precz z komunizmem”, „Precz z bolszewizmem”, „Precz z ruską demokracją”. Doszło do walki. Powstańcy zaopatrzeni w broń palną, zdobytą po rozbrojeniu kilku posterunków milicji i więzienia przy ulicy Młyńskiej, zaczęli szturmować szczególnie zniechęcony gmach Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ulicy Kochanowskiego. Byli zabici i ranni. Władza wprowadziła do walki czołgi. Miasto zostało całkowicie spacyfikowane. Jak się przyjmuje – bilans dwóch dni Poznańskiego Czerwca (28 i 29) – to około 80 zabitych, blisko 800 rannych. To dalsze setki i tysiące represjonowanych, osadzonych w więzieniach, wyrzuconych z pracy...

Uczniowie słuchali uważnie. Zwłaszcza, kiedy zacząłem opowiadać o jednym z najmłodszych powstańców – trzynastoletnim Romku Strzałkowskim, uczniu szkoły muzycznej, który padł zabity z białoczerwonym sztandarem w rękach.

Potem oglądaliśmy historyczne fotografie. Na tablicy zapisałem kilka dat: 1945, 28-29 czerwca 1956, 1968, 1970, 1976, 1980, 1981, 1989. Ostatnia data – powiedziałem – przyjmowana jest obecnie jako początek przemian ustrojowych w Polsce.

Uczniowie obiecali, że kiedy będą w Poznaniu, pójdą pod pomnik upamiętniający Poznański Czerwiec 1956 roku, pod Dwa Krzyże na dawnym placu Józefa Stalina.

Zaiste, trudna, zwłaszcza dla dzieci i młodzieży, jest nauka historii najnowszej.

Janusz Gulczyński



## Barometry i znaki przyrody

Przyroda zawsze była i jest sprzymierzeńcem człowieka. Przekazuje wiele znaków, które właściwie rozumiane mogą służyć jako wyrocznie pogody.

Wśród roślin „dających” długoterminowe prognozy, honorowe miejsce zajmuje brzoza. Już dawno temu ustalono, że jeśli z brzozy wypływa dużo soku – lato będzie deszczowe, jeśli zaś najpierw rozwinie się olcha – dokuczają chłody i deszcze. Jeżeli jesienią liście brzozy zaczną żółknąć od wierzchołka, to po zimie wiosna nadejdzie wcześniej, jeśli natomiast żółkną od dołu – wiosna będzie późno.

Zauważono też, że jeśli jest dużo

orzechów na drzewach, a grzybów mało, to zima będzie surowa i śnieżna. Obfitość jagód latem także zapowiada mroźną zimę, obfitość żołądź na dębach oznacza ciepłą zimę. Dopóki nie opadną liście z drzew wiśni, niezależnie od tego ile śniegu spadnie, zima szybko nie nadejdzie. Gdy wokół aż czerwono od jarzębiny – należy oczekiwać srogiej zimy. Jeśli latem na drzewach pojawiają się żółte liście – jesień nadejdzie wcześniej. Natomiast pojawienie się pośród odtałającego śniegu na urwiskach, stokach i na zboczach nasypów kolejowych podbiału – wczesnowiosennej rośliny o złocistych kwiatach, jest pierwszym, niezawodnym znakiem ciepłych dni w końcu marca i na początku kwietnia. Jeśli na łąkach, leśnych polanach, po-

śród krzewów, w pierwszej połowie kwietnia rozkwitają złocistożółte pierwiosniki, to można spodziewać się pierwszych ciepłych dni. Także białe, zebrane w baldachogrona miododajne kwiaty jarzębiny, zapowiadają zakończenie chłodu i nadejście ocieplenia. Pojawienie się na powierzchni wody w stawach, rzekach i jeziorach szerokich liści grzybieni białych oznacza koniec przymrozków. Obfite wydzielanie kleistej cieczy na powierzchni kasztanowca zwykle wróży nadejście długiego okresu deszczu.

Z roślin pokojowych przepowiadają pogodę filodendrony, fikusy oraz difenbachie o ozdobnych liściach – przed nadciągającym deszczem „pocą się”, na końcach ich liści wisi kropelka wody. Czasem z liści wierzby kropelki wody

spadają tak często, że ziemia staje się mokra. Kilka godzin przed deszczem „płacze” także czarna topola. Z drzew płaczących szczególnie wyróżnia się klon.

Bardzo wrażliwe na zmianę pogody są kwiaty nagietka, malwy i wilca. Są to prawdziwe wyrocznie pogody. Niebo jeszcze czyste, błękitne, a te kwiaty... już składają swoje płatki jakby zwiędły. Oznacza to, że wkrótce będzie deszcz. Niezawodnym barometrem jest też fiołek. Przy słonecznej pogodzie płatki fiołka są rozwinięte, natomiast zwinięte oznajmniają, że należy oczekiwać niepogody. Powój trójbarwny otwiera swe kwiaty tylko w dzień słoneczny i bezchmurny. Przed deszczem zwijają się liście koniczyny polnej. Prognozować pogodę pomaga też mniszek pospolity, zwany mleczem lub dmuchawcem. Jeśli zanosi się na deszcz, jego kwiaty przy słonecznej pogodzie pozostają zamknięte. Również przekwitły mniszek

może służyć jako barometr. Przy suchej pogodzie jego białe puszeki łatwo rozpraszają się po lekkim nawet dotknięciu rośliny.

Ogień płonący spokojnie, bez trzasku wróży pogodę nawet w czasie niepogody. Ale to nie wszystko. Nie należy zapominać o gromadzeniu się kruków, które zapowiadają zmianę pogody, odgłosach puchacza z wieczora, co oznacza suszę i mgłach unoszących się nad wodą lub miejscami wilgotnymi, zapowiadających piękną pogodę.

Myślę, że naprawdę należy się podziw i szacunek dla mądrej przyrody, która tak cudownie budzi nas wiosną do życia, a jesienią przypomina odwieczną prawdę, że: *co zasiejesz, to zbierać będziesz*. I nie odnosi się to wyłącznie do warzyw i owoców, ale przede wszystkim do naszych uczynków.

**Danuta Olczak**

*PS Danusiu wybacz skróty – jestem bezradny.*



## KAZIK – wspomnienie

O s o b i ście poznałem doktora Kazimierza Oblamskiego w okolicznościach niezbyt

niezbyt dla mnie wesołych. Po obszernym zawale serca leżałem na oddziale wewnętrznym konińskiego szpitala. Dr Oblamski był moim lekarzem prowadzącym. Optywałem w luksusy. Za naciśnięciem guzika, łóżko samo się podnosiło do optymalnej pozycji. Jakikolwiek wysiłek był absolutnie zakazany. Wreszcie, po którymś tygodniu, zaczęto mnie uaktywniać. Kazik stwierdził – możesz dzisiaj zaliczyć schody. Przy wieczornej wizycie katastrofa, pogorszenie, EKG zwariowało. Kazałeś mi zaliczyć schody, wyjaśniałem, zszedłem z II piętra na dół i z powrotem. Kazik spojrział jak na idiotę – to miały być trzy stopnie!

Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Znałem dobrze jego brata, Bolesława. Z bratową, Janką, łączyła mnie wspólna praca w Domu Kultury. Mieliliśmy wielu znajomych, więc de facto z opowiadań znałem go jeszcze z czasów gimnazjum. Były to pierwsze lata powojenne. Do gimnazjalistów trzymających się razem należeli jeszcze: Janek Czernik, Zdzich Sonnenberg i Bolek Mielnik. Ich przyjaźń przetrwała do śmierci. Młodzi chłopcy, doświadczeni ponad wiek latami okupacji, stali się nagle uczniakami. Ich doświadczenia życiowe niejednokrotnie zapędzały „w kozi róg” nauczycieli, zakłopotanych odpowiedzią na trudne pytania. Roczni, których dojrzałość fizyczna (a przede wszystkim psychiczna), przypadała na czas wojny, już takie są – nie posiadają dzieciństwa.

Kazik studiował medycynę. Już jako lekarz, z żoną Ewą, lekarzem pediatrą, osiedlili się w Koninie. Zrobił I i II stopień specjalizacji z interny. Uczestniczył w licznych sympozjach, konferencjach, odczytach, kursach... zawsze na bieżąco nie tylko w swojej specjalności. Zawsze w rozjazdach, ciągle ciekawy świata i ludzi. Posiadał nieprzeciętnie chłonny umysł. Potrafił budować karkołomne diagnozy, badając piętra ludzkich chorób, zachowań i determinantów.

**Jan Sznajder**

Był zafascynowany historią medycyny naszego regionu. Zainspirował go stary, emerytowany doktor M. Czerwiński, przedwojenny lekarz powiatowy. Który znał wiele spraw, ciekawostek i anegdot z XIX-wiecznego Konina. Kazik uporządkował te wiadomości. Przeprowadził dodatkowe kwerendy. Owocem jego pracy jest kilkanaście haseł w Bibliografii Lekarzy Polskich. Z jego inicjatywy został zorganizowany w 1984 r. I Zjazd Lekarzy Ziemi Konińskiej. Chciał, by miasto zadbało o groby zasłużonych lekarzy. W natłoku innych spraw, ta nadal czeka na realizację. Dzięki jego staraniom, przy b. Szpitalu Wojewódzkim powstała Izba Pamięci – ciekawe czy jeszcze istnieje?

W okresie gdy w Żelaznej Kurtynie coraz częściej otwierano drzwi na Zachód, Kazik zapragnął leczyć obywateli Stanów Zjednoczonych. Pojechał. Tam zaproponowano mu etat pielęgniarski. W przeliczeniu finansowym etat dawał wielokrotnie większe zarobki, niż u nas otrzymywał lekarz. Trzeba było jednak znać Kazika! – Ja, z moją wiedzą, która w niczym nie ustępuje, zadufanym w sobie, amerykańskim lekarzom! Niech mnie pocałują gdzieś! Wrócił do Polski. Może to blahe, ale w dobie masowych wyjazdów za większym „groszem”, gest Kazika znamionuje poczucie własnej godności.

Tym, co odróżniało Kazika od innych, była pasja. Pasja w zawodzie lekarza, społecznika, wreszcie historyka – amatora dwóch ostatnich wieków. Zaskakiwał rewelacjami, wyszperanymi z rzadko dostępnych książek, dokumentów i tym podobnych publikacji. Posiadał przy tym, nieczęsto spotykaną umiejętność syntezy. Rozmawiany w regionie, działał od zawsze w Tow. Przyjaciół Konina.

Wiele godzin przegadaliśmy wspólnie na Posoce. W trójkę – jego szkolna koleżanka Danka Czerwińska, Kazik i ja. Załamał się po nagłej śmierci żony.

Córki, jedna w Kanadzie, druga w Poznaniu, namawiały go, by zamieszkał u jednej z nich. Odmówił. Tu był jego dom i jego miejsce na Ziemi. I tu pozostał na zawsze. Żegnaliśmy go 22 kwietnia 2006 r. na Cmentarzu Komunalnym w Koninie.



## Nasze miasto

D z i w n i e powikłane są losy mieszkańców Konina? Większość obywateli do

grodu nad Wartą sprowadził „wielki przemysł”. Znaczną część „nowych” mieszkańców na trwałe asymilowała się z autochtonami, tworząc dalszą historię miasta. Jednakże mieszka w nim spora grupa traktująca miasto jak sypialnię.

Mój serdeczny kolega przyjechał z rodzicami do Konina jako małe dziecko pod koniec lat pięćdziesiątych. Kiedyś z pewnym wyrzutem wręcz z żalem powiedział: Wiesz, ty masz, o czym opowiadać. Gdy odwiedzałem cię w Starym Koninie, to jakbym wkraczał do innego świata. U was na podwórku wszyscy się znali, byli wobec siebie bardzo serdeczni. Nawet nie przeszkadzało mi brak kanalizacji i że z tego powodu biegałem do ubikacji na podwórko. Ja od początku zamieszkałem w blokach – niby wygoda, ale za to wokół wszyscy obcy. Dopiero po wielu latach z sąsiadami zaczęliśmy znajdować wspólny język. Ja nie mam, tak jak ty, o czym wspominać.

Zapytałem go wówczas, czy pamięta gdzie w Czarkowie mieściła się remiza strażacka. Odpowiedział: Oczywiście – przecież po przeprowadzeniu gruntownego remontu od 1960 roku rozpoczęło tam działalność kino „Energetyk”. Pytałem dalej: Często zimą jeździłeś na sankach ze skarpą koło szkoły „siódemki”? Rozemocjonowany pochwalił się, ile razy nabijał sobie guza. Z nieukrywaną dumą przypomniał o swoich wyczynach na lodowisku organizowanym między

ulicami Dworcową a Energetyka. Pełen skromności opowiadał o swoim uczestnictwie w Telewizyjnym Konkursie Pięciu Milionów, gdy jako uczeń Szkoły Podstawowej nr 6 pod wodzą Stanisława Cieślaka reprezentował Konin w tej bardzo popularnej na owe czasy imprezie. Już we wspólnych wspomnieniach zawędownialiśmy na budowę czwartego osiedla, gdzie przejechaliśmy się wagonikami na szynach, dowożącymi materiały na

budynku dworca kolejowego. Mówił: Wyobrażasz sobie jakże fantastycznie by wyglądał odremontowany ówczesny dworzec, zamiast obecnego „dziwactwa”. Ile wówczas znalazłoby się miejsca na parkingi i przystanki autobusowe. W swoim monologu zwierzał się: Ilekroć przejeżdżam pociągiem przez Koło... zawsze stają mi łzy w oczach, jak widzę ten bliźniaczy budynek stacyjny z Konina. Swój wywód zakończył stwierdzeniem – widocznie „tam” rządził ktoś mądrzejszy. Przez moment milczeliśmy nim kolega odezwał się ponownie, za-



Stary dworzec kolejowy

place budowy. Odwiedziliśmy tartak przy ulicy Dworcowej. Jeździliśmy na karuzeli w ogródku jordanowskim. W myślach rwaliśmy jabłka z drzew rosnących wzdłuż alei prowadzącej do Morzysławia. Sprzeczałyśmy się o wygląd dawnej skarpki przy skrzyżowaniu ulic Dworcowej i Pierwszego Maja. Swarzyliśmy się, w której restauracji podawali najlepsze kotlety schabowe, oraz jak długo trzeba było stać w kolejce za piwem w „Ekspresie”. Zaskoczył mnie pytaniem o nazwę zespołu muzycznego ze świetlicy przy ulicy Kolejowej – nie pamiętałem. Zadawał coraz więcej pytań o mieszkańcach z drugiego osiedla, datach pobudowania budynków, ulic, sygnacjami jak z rękawa. Pełen kontestacji pomstował na „sekretarza”, u którego powstał idiotyczny pomysł wyburzenia dawnego

strzegając: Wiesz... tylko się ze mnie nie śmiej, ale ja marzę o kolejce napowietrznej, jaką widziałem w Berlinie. Pełen rozgorączkowania, wręcz uniesienia, snuł swoją wizję: Kolejka połączyłaby „starą” część Konina z „nową”. Wyobrażasz sobie podróż w takim wagoniku nad łąkami kanału Ulgi z przystankiem gdzieś koło parku im. Chopina. Jaką stanowiłaby atrakcję turystyczną, a zarazem promocję dla miasta. Argumentował możliwość pobudowania kolejki uwarunkowaniami topograficznymi, posiadaniem przez Konin. Na zwykłej kartce papieru zaczął rysować plan trasy... Przerwałem mu: Romku... i ty mówisz, że nie masz, o czym opowiadać. Ty nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo kochasz swoje, przemasz, nasze miasto.

**Włodzimierz Kowalczykiewicz**

Wywiady Stanisława Sroczyńskiego

## Nadażyć za pasją

Ostatnia wystawa prac Józefa Szyka w CKiS nosiła tytuł „Nadażyć za Pasją”. Komisarz wystawy Hanna Kubacka-Kujawińska przyznała, że zaczerpnęła go z artykułu Ani Dragan. W dowód uznania dla obu Pań posłużyłem się nim również ja. Nie wiem, czy rzecz zakończy się na tym wywiadzie, ponieważ opisanie dokonań Józefa Szyka nie jest możliwe do zmieszczenia w jednym artykule, wywiadzie czy nawet impresji filmowej. Wszystkie te formy nie oddają w pełni wspomnianych pasji artysty. Udało mi się namówić p. Józefa, aby zaprezentował się sam na łamach kolejnych numerów „Koninianów”. Ktoś może powiedzieć, że poszedłem na łatwiznę – i będzie to święta prawda, ale „Koninianom” przybędzie jeden piszący oraz na pewno sporo czytelników.

Mówi Hania: – „Jak to nadażyć za pasją? Pasję się ma i już. Ale co, jeśli ta pasja ma konkurentki – inne pasje. Jeśli umie, lubi i chce się robić różne rzeczy, wtedy pasją pasję pogania, jeśli budzą się pasje jedna za drugą – to można za nimi nie nadażyć”.

SS: I co robić w takiej sytuacji? – pytam Józefa Szyka.

JSz: Najprościej przejść na emeryturę. Ale wtedy to już w ogóle brak

czasu na cokolwiek. (Skądś to znam – przyp. mój.)

SS: Powiedz, jakie dziedziny twórczości Cię zafrapowały, może coś na „starość” Ci wybierzemy.

JSz: Uprawiałem sporo dziedzin – film, fotografię, rzeźbę, płaskorzeźbę, linoryt, czekankę, medalierstwo, drzeworyt, serigrafie, malarstwo oraz ilustrowałem trochę książek.

SS: Jesteś najlepszym dowo-

dem na to, że dobrotliwy Bóg rozrzuca po ziemi talenty, nie bardzo patrząc, gdzie spadają – przecież jesteś z wykształcenia „porządnym” technikiem-mechanikiem urządzeń hutniczych i górniczych.

JSz: Pewno – na szczęście dla tych maszyn – zostałem zatrudniony jako plastyk zakładowy w FUGO w Koninie. Do dzisiaj stoją tam zaprojektowane przeze mnie czterokątne abstrakcyjne formy metalowe oraz pomnik zakładowej „Solidarności”. Głowy, popiersia i tablice pamiątkowe znajdują się w kilku ośrodkach rekreacyjnych oraz kilku szkołach.

SS: Drogi Józefie, będziesz miał okazję o tym wszystkim powiedzieć w swoim czasie w kilku napisanych przez siebie artykułach, zilustrowanych zresztą odpowiednimi zdjęciami. Powiedz lepiej, jakie i skąd przyniosły Cię wiatry do naszego miasta?

JSz: Urodziłem się w Gorzowie i tam również zaraziłem się pasją artystyczną. Co się tyczy moich poglądów na nowoczesne malarstwo i inne dziedziny współczesnej sztuki, uważam, że poszukiwania te są odległe od potrzeb i pragnień człowieka zagubionego i bez tego w szybkim tempie naszego życia. Fascynuje mnie ekspresja w naturalistycznym oddaniu zjawisk przyrody, przedmiotów i

istot żywych, a zastosowanie koloru musi być dla mnie wyłącznie funkcjonalne. Nie zachwycają się nigdy barwną plamą albo linią samą w sobie. W moich pracach dbam przede wszystkim o światłocień, tj. walor, ekspresję i wierne oddanie tematów. Mogę powiedzieć śmiało, że jestem fanatykiem rzetelnej roboty, dbającym czasami o przesadnie dokładne dopracowanie szczegółów.

SS: Wybrałeś mi dokładnie „wiatr z żagli” – powiedziałeś z rozpędu właściwie wszystko, o co chciałem pytać, a przestrzegano mnie, że przy Tobie człowiek niewiele będzie mógł powiedzieć. W takim razie dodam od siebie, że Twoje prace znajdują się na „Darze Młodzieży” oraz w ... Mongolii. Ponadto w prywatnych zbiorach we Francji, Holandii, Szwecji, Grecji i Kanadzie.

Ale o tym to już będziesz pisał



Józef Szyk przy pracy rzeźbiarskiej

sam.

Dziękuję za rozmowę i witam na łamach „K”.

PS Ponieważ jesteś już czterdziestoletnim koninianinem, z przyjemnością wręczam Ci odznakę Towarzystwa Przyjaciół Konina.

## Wstęp do „Silva rerum” Wenedy – pióra Ewy Grętkiewicz

Las rzeczy, który kryje biurko pisarza, jest tajemnicą, zanim on sam nie odważy się nas do wspólnego odkrywania tej tajemnicy zaprosić. I kiedy już się na to zdecyduje, wszystko to, co do tej pory było wyłącznie jego własnością, staje się również nasze. Otwieramy więc kolejne szuflady, wprawdzie za jego przyzwoleniem, ale i z pewną nieśmiałością, że wkraczamy oto w sferę dotychczas intymną, niedostępną. A zanurzając się w ten intymny świat Janiny Wenedy, czujemy się jakoś wyróżnieni. Najpierw wiersze – różne w formie i treści, odwołujące się do rzeczy i spraw, bo pisarka stara się zajmować stanowisko także wobec wydarzeń, które zmieniają porządek świata, takich jak wojny, niszczące nie tylko materialne dowody obecności człowieka, ale i jego samego, poddające człowieczeństwo najwyższej próbie.

Zachwycają subtelne i bardzo młode erotyki „Obcość”, „Pragnienie”, „Raj” czy „Tęsknota”, cieszą ciepłe wiersze spod serca jak „Wigilia” czy „Pierwszego listopada”, literackie uroczona kwietną wiosną, bujną i bogatą przyrodą. Są dowodem jak wiele z niej czerpie Janina Weneda, dokładając własną wrażliwość do dzieła stworzonego przez naturę.

Mówi się, że trzeba dorosnąć do wierszy. I nie wystarczy tylko władać piórem, umieć radzić sobie z formą, trafić odpowiednie nadać rzeczy słowo. Żeby brzmiały prawdziwie, muszą być prawdziwe. I takimi są z pewnością te wydobyte dzisiaj, z szuflady Wenedy z napisem „poezja”. Dojrzałe i młode jednocześnie, na pewno warte poznania.

Jak bardzo wrosła w swój Konin, udowadnia autorka „Wspomnieniami”. Są one nie tylko powrotem do miejsc,

których już dzisiaj nie ma, do ludzi, którzy odeszli, ale przede wszystkim fascynującą wędrówką w krainę dzieciństwa, świat jasnych i dobrych wspomnień – nawet jeśli zostawiła na nich piętno wojna. Żeby tak pisać o swoim mieście, trzeba je po prostu kochać miłością bezwarunkową i niezmienną, ofiarując mu swoją pamięć, pracę i talent.

Wędrówkę do miejsc serdecznych Weneda zaczyna od tego, co najważniejsze dla każdego dziecka – nowo wybudowanej wtedy szkoły powszechnej przy ulicy Kolskiej. Potem prowadzi nas przez koniński park, miejsce zaczerpnięte, zamieszkałe przez dziwy-niewidy, nad staw parkowy, na wyspę z altaną. W serdecznych wspomnieniach zostały też kino, lodowisko i rzeka Warta.

Bezpieczny świat dzieciństwa zostaje brutalnie przerwany przez nadciągającą wojnę, w którą najpierw tak trudno było uwierzyć, że naprawdę nadejdzie, a potem zrozumieć, że po niej już i nigdy nie będzie takie samo. „Wtedy nie wiedziałam, że zabraknie łez, a oczy pozostaną puste rozpaczą na wszystkie przyszłe lata. Wtedy nie wiedziałam...” – pisze Janina Weneda.

We wspomnieniach powojennych galeria postaci znaczących dla autorki – profesor Mikusiński, kolega z klasy Ireneusz Pawlak, dyrektor szkoły Michał Kozłowski, a także miejsce, z którym wiąże się Janina Weneda na całe zawodowe życie – szkoła górnicza. Czytając kolejne karty „Wspomnień”, dowodzące owej pamięci serdecznej o mieście tak ukochanym przez autorkę, chciałoby się poprosić o więcej. Zanim utoną w bezpowrotnym zapomnieniu obrazy i ludzie, miejsca magiczne, zdarzenia niezwykłe. Bo nikt nie zrobi tego lepiej niż Janina Weneda, świadek zda-



rzeń bezpośredni.

W szufladach biurka pisarza jest miejsce na teksty różne – między innymi okolicznościowe wspomnienia z lat nauczania w szkole, do której przysłała Janina Perathoner, wtedy jeszcze nie pisarka, latem 1959 roku starać się o posadę nauczycielki języka polskiego i została na zawsze.

Jest literacki zapis podróży do współczesnej i starożytnej Grecji, „Pastorałka” stylizowana na takowe z XVI wieku, skecz „Poeta i pieniądz”, a także libretto operowe lub dramat kostiumowy w 3 aktach, noszący tytuł „Domna Rozanda”.

Zwraca uwagę również rozmowa na temat miłości w życiu i twórczości Zofii Urbanowskiej. Wśród literackich miniatur Wenedy szczególnie poruszająca jest „Grusza sąsiada” i „Cygan” – obie przerażające prawdziwie, mówiące o nietolerancji dla inności, rasowych uprzedzeniach, okrucieństwie. Bardzo prawdziwie brzmi też „Rozmyślenia o wojnie i okupacji”, będące osobistym rozrachunkiem Janiny Wenedy z przeszłością.

Silva rerum – las rzeczy, które zgromadziło biurko pisarza – trafia dziś do nas jako kolejna książka autorstwa Janiny Wenedy, bogata przez swoją różnorodność, pokazująca jak wiele pól literackiej eksploracji starała się autorka dla siebie zawładnąć, w jak różnych formach literackich się sprawdzić.

Dla badacza literatury to kolejny przyręczek do poznania warsztatu i twórczych możliwości autorki, dla czytelnika przede wszystkim ciekawa i warta poznania lektura, a dla Konina prawdziwe święto.

(Przepraszamy pp. Ewę Grętkiewicz oraz Wenedę za redakcyjne skróty.)

### Kochani!

Mam nadzieję, że pozwolicie mi (nam) założycielom-inicjatorom Koninńskiego Klubu Filozofii Ekologicznej tak się do Was zwrócić. Powstanie naszego klubu motywuje się przede wszystkim (m.in.) utworzeniem w Polsce pierwszej w świecie Katedry Filozofii Ekologicznej, i to nie na uniwersytetach, ale na Politechnice Łódzkiej z inicjatywy prof. Henryka Skolimowskiego.

Nic piękniejszego niż mariaż sfery technicznej z naturalistycznymi kategoriami wartościowania, jako że my, istoty biologiczne, nie mamy wyboru – musimy współistnieć, współbrzmieć z całą pozostałą częścią biosfery. Wszak przybywają na świat następne pokolenia, a ujmując to słowami nieodżałowanej pamięci prof. Juliana Aleksandrowicza z Akademii Medycznej w Krakowie (wielkiej miary humanisty, lekarza filozofa): „oby pokolenia te (i nasze) mogły żyć – w psychicznym i fizycznym dobrostanie”. My współcześni – naszą planetę jakbyśmy od nich pożyczymy. Jaką im pozostawimy (p o z o s t a w i a m y), taką i tak będą mieć. Ten tok myślenia, jak mam nadzieję, jest proprzyszłościową motywacją naszych działań, bo nie antymotywiącą przecież.

Klub nasz, będący z założenia klubem wszechniczy proekologiczny, ma zaistnieć na podłożu popularnym i zarazem popularno naukowym. Wydawać by się mogło, że już wszystko nam wiadomo o ekologii czy ochronie środowiska przyrodniczego. Jednak odkrywane są nawet dziś nowe zagrożenia, ot choćby w zaledwie fragmentarycznych badaniach wychodzi, że stosowanie telefonów komórkowych (pracując z użyciem mikrofal – duża przenikliwość), mogą przyczyniać się do powstawania nowotworu mózgu przy dużej częstotliwości użytkowania. Jeden z posłów (pożal się Boże) wyraził się, że przez ekologię mamy kraj poważnie zniszczony.

Profesor Jerzy Zwoździak z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Wrocławskiej wyraził opinię, że: „świadomość ekologiczna powinna być wpisana w ekorozwój...” Stwierdził również, że: „mamy bardziej zabawę w ekologię, mamy politykę w ekologii niż politykę ekologiczną”.

Założenia funkcjonowania klubu:

- współpraca z Państwową Wyższą Szkołą Zawodową w Koninie
- dyskusje panelowe, wykłady, prelekcje
- spotkania rekreacyjne
- współpraca ze służbami ochrony środowiska
- quizy, konkursy etc., etc.

Tak więc – wszyscy do dzieła, ku wspólnej radości i zdrowej przyszłości.

Z szacunkiem  
Jan Piotr Szczepaniak



## Rys historyczny z okazji poświęcenia ronda Ducha Świętego

Są takie miejsca w każdym mieście, które nierozzerwalnie bywają związane z jego historią. Współcześnie często już zapomniane, ale przez stulecia niezmiernie ważne dla dawnych mieszkańców. Stary Konin to część współczesnego miasta, która w przeszłości określiła w istotnym stopniu sens i miejsce jego translokacji po katastrofalnym w skutkach najeździe krzyżackim w 1331 r. Tutaj bowiem przez sześć stuleci zbiegały się dwa szlaki drogowe, które odegrały rolę głównego czynnika miastotwórczego w dziejach Konina.

U podnóża południowego skraju pradoliny, wiodącej przez Wartę i miasto, trakt Poznańsko-Warszawski, łączył się z traktem Kaliskim. Rejon skrzyżowania wspomnianych dróg - położony poza obrębem średniowiecznych murów miejskich i powyżej rozlewiska rzeki Warty - w naturalny sposób stał się ośrodkiem, wokół którego powstało najstarsze konińskie przedmieście.

Z czasem zaczęło się ono rozrastać i powoli stawało się integralną częścią zwartej zabudowy miejskiej. W kon-

sekwencji tego procesu w XIX stuleciu zaczęto wyróżniać dwa odrębne przedmieścia, granicą których stało się wspomniane skrzyżowanie. Obszar na wschód od niego zaczęto nazywać przedmieściem Warszawskim, później Kolskim, aż w końcu ulicą Kolską. Natomiast rejon na zachód - przedmieściem Kaliskim i w końcu ulicą Kaliską.

Wcześniej jednak teren wokół tegoż skrzyżowania nazywano różnie, często zresztą zamiennie i niezbyt precyzyjne. Już to przedmieściem Garncarskim, przedmieściem Kaliskim, Borzętowo, a sporadycznie też przedmieściem św. Ducha.

Ta ostatnia nazwa związana jest z instytucją, która przez kilka stuleci towarzyszyła życiu dawnym mieszkańcom naszego miasta.

Wszystko zaczęło się w roku 1422, kiedy to Berwold z Liśca, podczaszy dobrzyński, fundował w Koninie kościół szpitalny pod wezwaniem św. Ducha i św. Katarzyny. Równocześnie fundator przeznaczył na utrzymanie rektora tegoż kościoła 6 grzywien monety bieżącej rocznie i dwie ćwierćniaki żytniej, które tenże miał pobierać z sołectwa w Liścu. W tym sa-

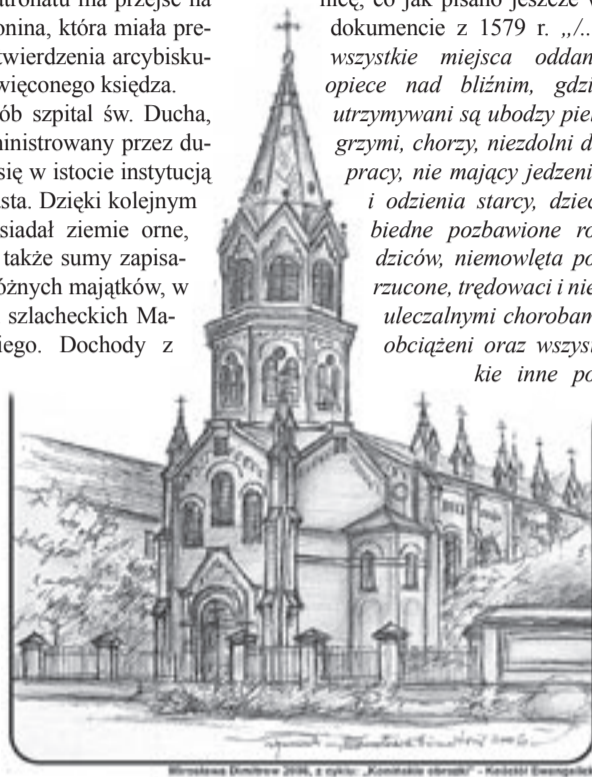
mym roku arcybiskup gnieźnieński Mikołaj Trąba zatwierdził erekcję kościoła i zdecydował, że po śmierci fundatora prawo patronatu ma przejść na radę miejską Konina, która miała prezentować do zatwierdzenia arcybiskupowi tylko wyświęconego księdza.

W ten sposób szpital św. Ducha, aczkolwiek administrowany przez duchownego, stał się w istocie instytucją należącą do miasta. Dzięki kolejnym darczyńcom posiadał ziemie orne, łąki i ogrody, a także sumy zapisane na dobrach różnych majątków, w tym na dobrach szlacheckich Magistratu Kaliskiego. Dochody z majątku i kapitałów oraz datki miały zapewnić utrzymanie kościoła i pozostałych budynków, duchownego i pensjonariuszy, których przeciętnie było ok. 12.

Należy przy tym pa-

miętać, że w średniowieczu słowo „szpital” miało inną treść niż obecnie. Rozumiano przezeń nie tyle lecznicę, co jak pisano jeszcze w dokumencie z 1579 r. „.../

*wszystkie miejsca oddane opiece nad bliźnim, gdzie utrzymywani są ubodzy pielgrzymi, chorzy, niezdolni do pracy, nie mający jedzenia i odzienia starcy, dzieci biedne pozbawione rodziców, niemowlęta porzucone, trędowaci i nieuleczalnymi chorobami obciążeni oraz wszystkie inne po-*



litowania godne osoby...”

W istocie rzeczy szpital św. Ducha był przytułkiem, w którym - zgodnie ze stanowiskiem Rady Miejskiej - znajdowali schronienie konińscy mieszczaństwo, którzy na starość pozostali bez najbliższej rodziny, opieki i często środków do życia.

Drewniany kościół wzniesiono na rozstaju dróg, pomiędzy ówczesnymi folwarkami Borzętowo i Chwaliszewo. Tuż obok świątyni zbudowano również drewniany budynek szpitala i dom dla duchownego wraz z zabudowaniami gospodarczymi. Odtąd kościół szpitalny św. Ducha połączyły z miastem wspólne losy, które dla kościoła św. Ducha początkowo wydawały się łaskawe.

W czasie potopu szwedzkiego, kiedy to w roku 1656 spalono znaczną część miasta, zabudowania szpitalne wraz z częścią przedmieścia Garncarskiego szczęśliwie ocalały. Również w okresie zniszczeń doby wojny północnej z początku XVIII w. kościół św. Ducha nie poniósł większych strat.

Nie oznacza to jednak, że średniowieczne budowle kościoła i szpitala trwały bez zmian. W rzeczywistości żywotność drewnianych budynków była ograniczona i w praktyce możemy raczej mówić o kolejnych budowlach, wznoszonych w miejsce zmuszonych i rozpadających się ze starości konstrukcji.

Piotr Rybczyński

(cdn.)

## ABSOLWENCI Liceum Ogólnokształcącego w Koninie z roku 1956

po 50 latach....



M. BONIKOWSKA



O. BORCZYŃSKA



T. BUCIAK



K. BUSZKIEWICZ



Z. CYGAN



J. DOBRECKI



B. DOBRZYŃSKA



I. FANGRAT



S. FRANKIEWICZ



A. GIBOWSKA



R. GOC



A. DOŚCIŃSKI



I. JAKUBOWSKA



I. KOZŁOWSKA



B. LACIŃSKA



T. ŁUKOMSKA



S. MARCZAK



Z. MŁASTKOWSKI



B. MRYGOŃ



D. NOWAKOWSKA



A. OLESZEK



I. ROBAK



M. RUBIN



A. SMITEK



B. BOKOŁOWSKA



M. ULATOWSKA



S. URBANIAK



J. WYDERSKI



M. ZABOROWSKA



T. ZABICKA

## Czy pamiętasz?

Pod tym hasłem w dniu 17 czerwca 2006 r. odbyło się kolejne, tym razem jubileuszowe, spotkanie przyjaciół - absolwentów Liceum Ogólnokształcącego w Koninie po 50 latach od zdanej w 1956 r. matury. Na jednym ze spotkań wcześniejszych (1990) prof. W. Tupalski powiedział: „- Im głębiej sięgają wspomnienia, tym bogatsze stają się w swej treści. Im większy odstęp dzieli nas od lat szkolnych, tym piękniejsze wydają się przeżycia z tego okresu”. Tak więc w słoneczne sobotnie przedpołudnie, odświeżeni wyglądający, nieco wzruszeni, spotkaliśmy się przed konińską farą, aby w jej chłodnych murach, pamiętających czasy naszej młodości, podziękować Bogu za upływające właśnie 50 lat. Radosne powitania, uściski, pocałunki i „- To naprawdę ty, nie się nie zmieniła!?!?” Andrzej O. jak zwykle z pięknymi czerwonymi różami dla Izy F. I nasi kochani profesorowie, którzy w trudnych latach pięćdziesiątych starali się ukształtować nasz światopogląd - tolerancyjny, patriotyczny, z obywatelskim sumieniem i troską o społeczną sprawiedliwość. Niestety wielu z nich odeszło na zawsze. Zabrakło wśród nas również kilku koleżanek i kolegów. O spokój ich dusz prosił się w modlitwie wiernych. Po mszy św. przeszliśmy do naszej „starej budy”, gdzie niezmiernie serdecznie zostaliśmy przyjęci przez panią dyrektor: Barbarę Gajewską i Jolantę Fabisiak. Tu w auli - teraz w nowej szacie - oficjalnie powitała wszystkich koleżanka Alinka Sroczyńska, która z tą szkołą związana jest nie tylko jako uczennica, ale i nauczycielka. Z zawodową wprawą odczytała listę obecności, co ostatecznie rozwiało wszelkie wątpliwości „Who's Who”. Szczególne słowa szacunku i serdeczności skierowane zostały pod adresem obecnych nauczycieli, wśród których znaleźli się niezawodna pani prof. Klara Tupalska, panowie Aleksander Kozłowski i Edmund Sobczak oraz wychowawca jednej z klas, pan Teodor Krawczyk. Zwiedzanie szkoły poprzedzone zostało przytoczeniem szczególnie wdzięcznego wiersza o Koninie pt. „Miasto moje...” autorstwa Janusza Dobreckiego. Wiersz został w 2004 r. nagrodzony przez Towarzystwo Przyjaciół Konina w Konkursie Poetyckim o statuetkę Milowego Słupa. Przedstawiono nam również film obrazujący życie i osiągnięcia „naszej” szkoły. Potem kawa, ciasto, sentymentalne wędrówki po ciem-

nych korytarzach starej części budynku i tu: „- Gdzie się podziała moja klasa?, a gdzie nasze tableau? - dalej podziwianie nowej części szkoły. Rozstanie z Liceum w deszczu! Teraz autobusem na cmentarz, aby tam przy grobie Halinki Soszyńskiej zapalić znicze i pomodlić się za drogich nam zmarłych Profesorów i Kolegów. Spotkanie towarzyskie tradycyjnie w „Starym Koniu”. Odłożyliśmy na bok codzienną nużącą rutynę. Był szampa, obiad, kawa i rozmowy nawiązujące do tych dni „durnych i chmurnych” - wspomnienia, wspomnienia. Nasz drugi poeta, Andrzej Oleszek, odczytał wiersz napisany specjalnie na to jubileuszowe spotkanie. Wiersz pt. „Nasza dojrzałość?”, którego fragment brzmi: „znowu jesteśmy wszyscy razem z naszej kochanej konińskiej budy, nie trzeba serc gorących studzić, bo one zawsze, czy tu, czy na nieznanych orbitach wszechświata, będą były dla wszystkich ludzi”. Po wielokrotnie powtarzanych pytaniach: „- Czy pamiętasz?” wielu z nas dopiero teraz dowiedziało się, co nas spotkało w młodości. Były też drobne upominki, w tym „tableau bis”, na którym jesteśmy już tylko „piękni”. Jego pomysłodawcą jest kolega Bogusław Mrygoń. Andrzej Oleszek - jako etatowy „szalony fotograf” - utrwał każdą chwilę, bo może to już ostatni raz? Wszystko łącznie stworzyło niepowtarzalną aurę tego dnia, a pożegnaniu towarzyszyła wspólna wszystkim refleksja - dlaczego piasek w tych naszych klepsydrach życia przepływa tak szybko....

Maryla Zaborowska i Alina Gibowska

KONINIANA

www.koniniana.netstrefa.com.pl

zdjęcia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 063 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893